



TEGOŻ DNIA, WIECZOREM

Eugeniusz Musiałek, sierżant Milicji Obywatelskiej, wiele już zdążył zobaczyć w swoim nie tak znów długim życiu. Nigdy jednak nie zdarzyło mu się widzieć czegoś podobnego.

— Potworne — rzekł wstrząśnięty. — Co to jest i dlaczego?

— Tygrys — powiedziała Monika.

Sierżant spojrzał raz jeszcze i znów go podrzuciło. Przerazająco wykrzywiona pomarańczowa bestia zajmowała niemal całą ścianę łazienki, utrzymanej w tonacji różowo-białej. Dodać należy, że białe było głównie na posadzce.

— Tu właśnie — wskazał pedantyczny Munio — tu właśnie spadł pan Wojtczak, kiedy Rzodkiewka to powiedziała.

— Co powiedziała rzodkiewka? — wyjąkał sierżant, całkowicie zbity z tropu.

— Że widziała włamywacza!

Sierżant natychmiast stał się czujny.

— Kto widział włamywacza?

— No, ja! — powiedziała Monika, nieco już znużona tym tematem.

— Gdzie? Jak?

— Już mówiłam Mamie.

— Musisz powtórzyć jeszcze raz.

— O jejku. No więc on wszedł do naszego pokoiku.

Chłopcy spali, ale ja się obudziłam.

— I co? — niecierpliwił się sierżant.

— I znów zasnęłam — odparła Monika, patrząc na niego ze zdziwieniem.

— Ale mówisz, że go widziałaś?

— No, widziałam. Jak usłyszałam, że ktoś wchodzi, to się obudziłam. A jak on zobaczył, że się obudziłam, to szybko wyszedł. No, to ja znowu zasnęłam. Nie wiedziałam wtedy, że to złodziej.

— Czy potrafiłabyś go opisać? — spytał sierżant, za wszelką cenę starając się nie okazywać zniecierpliwienia.

— Nie — oświadczyła Rzodkiewka. — Bo widziałam tylko jego plecy. I rękę na kłamce. Jak się panu podoba mój tygrysek?

— Szalenie — powiedział sierżant Musiałek w miarę spokojnie. — Czy zauważyłaś coś szczególnego na tej ręce?

— Nie wiem — zbyła go Monika. — Chcieli go zmyć, wie pan? Ale Mama im nie pozwoliła.

Sierżant zacisnął zęby. Kto wie, czy w tym momencie nie pożałował, że nie posłuchał rad ojca, który widział jego przyszłość w hodowli drobiu.

— Posłuchaj, moje dziecko — przemówił łagodnie.

— Musisz na chwilę zapomnieć o tym... tygrysie i postarać się skupić. Pomyśl, czy nie było w tej ręce czegoś szczególnego? Może była tatuowana? Może brakowało jej palca?

— Amator — mruknął Tunio do brata.

Monika rozpromieniła się.

— Było coś szczególnego w tej ręce! — ucieszyła się szczerze.

— No? No? — zemocjonował się sierżant.

— Miała zegarek — powiedziała Rzodkiewka tonem odkrycia.

„Niektórzy lubią dzieci” — pomyślał sierżant Musiałek. Westchnął głęboko.

— No, tak. Dziękuję ci, moje dziecko — powiedział.

— Chyba nie możemy spodziewać się zbyt wiele po twojej pomocy. — I wyszedł za Mamą do hallu.

Rzodkiewka spojrzała za nim z niechęcią.

— Nie podoba mu się mój tygrysek — orzekła.

— Nie lubię go chyba.

Sięgnęła po resztę czarnej plakatówki i zajęła się dorabianiem tygrysowi ponadnormalnych pazurów. Takimi pazurami mógłby od jednego razu rozerwać nawet słonia, coś dopiero byle włamywacza.

— No, a cóż my, panie Mundeczku? — przeciągnął się Tunio. — Może by tak mały bieg po plaży?

— Pada, synu. A poza tym nie zapominaj, że obiecał mi Mamie pozmywać po podwieczorku, żeby można było zjeść kolację.

— Ja nie zapominam. Ale czy to my musimy myć? Może Rzodkiew by mogła?

— Hehe! Ja przecież wszystko tłukę! — zarechotała radośnie siostrzyczka. — Mnie nie wolno nawet dotykać szklanek!

— Nieźle się urządziła — ponuro stwierdził Munio. — Ze też nam pierwszym to nie wpadło do główki!

— Może się zdarzy coś nadzwyczajnego i nie trzeba będzie zmywać — zamarzyło się Tunio.

Jak na zamówienie, rozległo się łomotanie do frontowych drzwi. Chłopcy rzucili się otworzyć, ale ubiegła ich Mama. Przed paroma minutami zamknęła drzwi za sierżantem i od tego czasu siedziała bez sił w hallu, na pamiętnej skrzynce z napisem „Bul-garexport Sofia”.

Wszedł doktor, ociekając deszczem i wnosząc ze sobą atmosferę otuchy i męskiej siły. Zaraz potem porwał mokrego wiatru wcisnął w drzwi troje ludzi, opatulonych w kolorowe peleryny. Podczas gdy uśmiechnięty doktor zniknął za zakrętem schodów, Peleryniarze zbliżyli się do uśmiechniętej Mamy.

— Kwiatkowski jestem — przemówił pierwszy Peleryniarz cienkim głosem i złożył na dłoni Mamę mokry pocałunek. — Pani pozwoli, moja żona, moja córka.

Panie odsłoniły kaptury, ukazując dwie spiczaste twarzyczki.

— Misiuniu, uklon się — szturchnął Peleryniarz swą latorośl, blade dziewczę mysiej urody.

Misiunia obdarzyła wszystkich powłóczytym spojrzeniem i skłoniła głowę.

— My do pani z wielką prośbą — przemówił ojciec Misiuni. — Przyjechaliśmy na wakacje, a tu deszcz. Brak nam śledzi.

— Och — powiedziała Mama i zatrzepotała rękami. — Obawiam się, że nam też brak. To jest... my też się właśnie sprowadziliśmy tutaj i mogę państwa poratować najwyższej paroma jajkami.

— Ależ nie, jakie jajka, my nie po jajka! — zaczął machać rękami Peleryniarz.

— I jeszcze mamy makaron i mleko — powiedziała Mama prawdómownie.

— Droga pani, kiedy mówiłem o śledziach, miałem na myśli metalowe kołki do namiotu. Wiatr nam je powyrwał, no i namiot się wali.

— Och. — Mama zrozumiała, ale nadal była bezradna. — Ach. Ale i tych śledzi nam brak. Mundecku, może byś spróbował jakoś państwa poratować?

— Mogę spróbować — odparł Munio bez entuzjazmu i nie ruszył się z miejsca.

— No, to szukaj, syneczku, jakichś śledzi, a ja państwa poproszę tymczasem do kuchni. Przepraszam

za nieład, ale zaraz po przyjeździe wzięliśmy się za malowanie...

— A może... — zaczął Peleryniarz, podążając za Mamą i za swymi kobietami. — A może... mogłaby nas pani przenocować? Chociaż przez tę jedną noc...

póki się pogoda nie poprawi.

W hallu zostali Munio i Tunio, którzy spojrzeli po sobie bez słowa.

Z kuchni dobiegł rumor przesuwanych stołków i Misiunia odezwała się głosem kaczora Donaldy:

— Mamuniu, ja jestem głodna...

— Misiuniu — uspokajała ją Peleryniarzowa w podobnej tonacji. — To nie wypada. Przepraszam panią, Misiunia jest taka bezpośrednia.

— A... ten... proszę bardzo — odrzekła Mama, kompletnie zagubiona. — Zaraz coś przygotuję.

— No, skoro pani nalega... — zgodziła się mama Misiuni.

— Rzeczywiście, taki deszcz... że tego. Munio i Tunio, ukryci w ciemnym hallu, westchnęli zgodnie i pokiwali głowami.

— Brak tu Babci — westchnął Tunio raz jeszcze, głębiej. — Zjedzą nam naszą kolację.

— Wstydź się, ty sobku. Ale swoją drogą Mama jest za delikatna. Zginęłaby bez nas, biedactwo.

Z kuchni zapachniało, rozległ się brzęk talerzy i głos Mamy:

— Proszę bardzo, a może i państwo...

— Ach, tyle kłopotu! — zakrzyknął tatuś Misiuni, po czym bez wahania przysunął sobie talerz. Przez chwilę panowała cisza, po czym głosik Misiuni wyrzął obrzydzenie:

— Mamusiu, jakie to niedobre... ja nie chcę tego jeść.

— Misiuniu! — rzekł Peleryniarz z pełnymi ustami. — Musisz grzecznie zjeść to wszystko, to nie wypadła!

— Kiedy to takie niedobre... Napiałabym się herbatki.

— Ja tam chyba wejść i uduszę Misiunię — powiedział Tunio, zgrzytając zębami.

— Lepiej chodźmy do Babci, spytajmy, co człowiek kulturalny powinien uczynić w takiej sytuacji.

Babcia i doktor w najlepsze opowiadali sobie jakies dowcipy z brodą i pękali przy tym ze śmiechu. Rzodkiewka, nic nie rozumiejąc, rechotała także, dla towarzysztwa, siedząc wraz z Franusiem w nogach babcinego łóżka.

— Co się stało? — spytała Babcia, kiedy obaj nasrożeni bracia stanęli w progu.

Widocznie ich opowieść nie wypadła wystarczająco dramatycznie, bo kiedy skończyli, ujrzeli z rozczarowaniem, że Babcia i doktor znów się zaśmiewają do rozpuku.

— Nic się nie bójcie. Mama nie da wam umrzeć z głodu — powiedziała wreszcie Babcia.

— No, nie wiem — wyraziła powątpiewanie Rzodkiewka, patrząc na braci ze zrozumieniem i wyraźniej dzielając ich uczucia.

— Ale, ale — spytała Babcia. — Czy pomylicie naczynka?

— Nnie... — zająknął się Munio. — Nie zdążyliśmy jakoś.

— Mama zapewne myje teraz szklanki, żeby w nich podać herbatkę — powiedziała Babcia, kiwając głową.

— Idziemy tam, idiemy! — obruszyli się bracia.

— Ja też — podniósł się doktor. — Spróbuję jakoś pomóc pani Marii.

Zeszli we trzech do kuchni, Rzodkiewka za nimi. Już z daleka słychać było bezczelny głosik:

— Ja takiej nie piję, dla mnie za mocna...

— O, słyszy pan doktor? — zdenerwował się Munio.

— Ona tak do Mamy, no nie!

— No, dla mnie to nie nowość — rzekł doktor, poklepując go po ramieniu. — Uspokój się. Ja ich znam, przyjeżdżają tu co lato. Może jakoś ich zagadam i spróbuję stąd zabrać. Ostatecznie, mogliby przemocować u mnie.

Zanim jednak doszli do kuchni, wyprzedziła ich Rzodkiewka. Stanęła w drzwiach, oceniła sytuację i zsunęła groźnie brwi.

— Te, Misiunia — odezwała się od progu.

Misiunia skierowała na nią zdziwione, małe oczka.

— Co jest z tą jajecznicą? — zadała Rzodkiewka pytanie podstawowe.

Misiunia odruchowo spojrzała na talerz, gdzie niektnięta jajecznica pokrywała się zastygającą warstwą tłuszczu.

— Zjadaj! — zażądała Rzodkiewka. — Grzecznie i do końca.

Misiunia zaśmiała się nerwowo. — Cha, cha! Co to za dziwna dziewczynka, mamuniu!

— Jazda, jazda — zachęciła ją Rzodkiewka. — Bo jak nie, to ci ją wsadzę na głowę.

— Ona to robi — uprzedził Misiunię najstarszy z rodzeństwa.

— Nie, nie robi — uśmiechnęła się Misiunia, założyła ręce na piersi i odchyliła się na oparcie krzesła, spod oka prowokująco patrząc na Rzodkiewkę. Rzodkiewka poczerwieniała gwałtownie, zacisnęła usta, po czym zdecydowanym krokiem podeszła do stołu, błyskawicznie zawładnęła talerzem i w okamgnieniu, nim ktokolwiek zdążył zapobiec czemukolwiek, wyłożyła całą porcję jajeczniczy na szczyt Misiuniovej fryzury.

Zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Misiunia siedziała sztywno, wytrzeszczając oczy. Najwyraźniej odbywał się w niej jakiś przełom.

— Jeszcze herbatkę — podsunął Tunio.

— Ona już chyba wypije herbatkę — powiedziała Rzodkiewka z żalem w głosie.

Misiunia bez słowa, pospiesznie, sięgnęła na oślep po szklankę i wypita herbatę duszkiem.

Mama i rodzice Misiuni siedzieli bez ruchu, zapatrzeni w rozgrywającą się scenę, jak zahipnotyzowane króliki.

— Teraz powiedz ładnie „dziękuję” — podsunęła Monika.

— Dziękuję — powiedziała grzecznie Misiunia, patrząc na nią z respektem.

Za plecami chłopców rozległo się stłumione parsknięcie i po chwili niski śmiech doktora zahuczał pełną mocą.

— Coś podobnego! — zakrzyknęła mama Misiuni, wyrwana tym śmiechem ze stanu ośupienia. — Mi-

siuniu, chodź, nie zostaniemy tu ani chwili dłużej! I ty też stąd chodź, idioto, to jak zwykle twoja wina!

— zwróciła się do męża.
Porwali peleryny i spiesznie opuścili progi domu, znacząc swą trasę kawałkami jajeczniczy.

Mama bez ruchu siedziała przy kuchennym stole.

Była blada.

— Zachowaliście się niedopuszczalnie — powiedziała ze znużeniem. — Powinam ukarać Rzodkiewkę, ale nie mam już sił. Jestem strasznie zmęczona i chce mi się płakać.

Nastąpiła chwila ciszy.

— Ja mogę — odezwała się Rzodkiewka — za karę umyć wszystkie naczynia, nawet talerz po Misiuni.

— Nie, nie, zostaw — jęknęła słabo Mama — i tak mamy za mało szklanek.

— My zmyjemy — rzekł Munio.

— To ja zrobię kolację — pospieszyła Rzodkiewka.

Mama jakby się przebudziła.

— Ach, kolację! Nie, poczekajcie, chyba ja to muszę zrobić. Chyba ugotuję makaronu z mlekiem, bo, wiecie...

— Bo Peleryniarze wszystko zjedli — dokonczyli ponurym chórem Munio i Tunio.

— Tak jak myślałam — ponuro rzekła Rzodkiewka.
— Nie zostawili nawet odrobiny jajeczniczy — kwiknęła Tunio i nagle wszyscy, spojrzawszy po sobie, wybuchnęli śmiechem szaleńców.

— Och! — jęknęła wreszcie Mama. — Ja już nie mogę — i wytarła oczy. — Co za okropne dzieci

wydałam na świat. Nie pozwolą się nawet przyzwolicie pogniwać!

— Bardzo dobre dzieci — wtracił doktor, wciąż się śmiejąc. — Aha, a czy mogę zapytać... co by pani powiedziała... gdybym tak ja też się zaprosił na kolację?

— O — ojej — powiedziała Mama bezradnie. — No to — makaron z mlekiem!

— A, nie! — zaśmiał się doktor. — Chłopaki, przy siodełku motoru jest taka duża paczka. Przynieście no ją tutaj.

Mama zaczęła protestować.

— Ani słowa — rzekł doktor. — Przecież nie wyrzuci mnie pani na deszcz, skoro tak gościnnie podjęła pani Peleryniarzy.

— To ja postawię wodę na herbatę — zapaliła się Rzodkiewka.

Munio i Tunio wkroczyli uroczyście, dźwigając wielką paczkę i co chwila wachając jej zawartość przez papier. Robili przy tym na zmianę upojne miny i pocierali chude brzuchy. Doktor ułożył paczkę na stole, pieczołowicie przeciął sznurek. Po chwili z pogniczonych papierów wyłonił się bochen wiejskiego chleba i aromatyczna góra suchych kiełbas.

— Ha! — zakrzyknął Tunio.

— Dostałam to zamiast kwiatków od wdzięcznej pacjentki — rzekł doktor w zadumie. — Protestowałam pół godziny. Dzięki uporowi tej zacnej kobiety głodne dzieci dostaną kolację. Dziwnie się to wszystko plecie.

— Nie chciał pan tej kiełbasy? — zdumiała się Monika.

— Pewnie, co ja bym z nią robił na moim kawalerskim gospodarstwie?

Mama ożywiła się i zaczęła krzątać się po kuchni.

— Chłopcy, mycie szklanki. A co z Babcią? Czy musi wciąż leżeć? Nie mogłaby zjeść kolacji z nami w kuchni?

— Mogłaby — zawyrokował doktor, wznosząc palec w górę.

— To ja polecę! — zatupała Rzodkiewka i znikła. Kiedy Babcia w podomce zjawiła się na progu kuchni, ujrzała swą córkę siedzącą bezczynnie, z mocnym rumieńcem na policzkach, doktora, przepasanego ręcznikiem i wymachującego, jak kijem, wiejską kiełbasą oraz Munia z Tuniem, którzy z niespotykaną dotąd werwą i zapalem myli wszystkie naczynia, jakie im wpadły w ręce.

Kolacja była wspaniała. Rzodkiewka załadowała w pusty brzuszek cztery kromki chleba z ową cudowną kiełbasą. Babcia zjadła tyle samo i oznajmiła, że życie jej wraca.

Mama powiedziała, że nawet nie śniła o tak miłym zakończeniu tego ponurego dnia.

— A ja jestem zaskoczony, co się stało z tym domem — wyznał doktor z błogim uśmiechem. — Tak tu teraz ciepło i miło. Taki rodzinny wieczór, mruczy czajnik, deszcz stuka w szyby, wokół stołu dzieci... i pani, pani, pani, która... ach, która... — zacukał się i dokończył pospiesznie. — Która podaje mi herbatę — spojrzał na Mamę, potem w bok. — Jest świetnie — powiedział i w głosie miał coś jakby tęsknotę.

Bracia siedzieli obzarc, wyciągając patykowane nogi.

— Konieczny jest spacer — sapnął Munio.

— Czuję się jak nadziewana gęś.

— Mamo, możemy?

— W taki deszcz?

— Już przestaje padać. Tylko mży.

— Dżdży, dżdży, Mamo.

— No, dobrze. To na pół godzinki. A Rzodkiewka

do wanny! Czas już na ciebie.

— Ojej, Mamo! — zaczęła dziewczynka swe zwykłe protesty. Munio i Tunio, pokrzykując dla kurażu, nieśli się kędyś za oknami.

Deszcz jeszcze kropił. Chłopcy dopadli brzegu jeziora i przystanęli. Jezioro lśniło jak kałuża rtęci, zwaliste chmury snuły się nisko nad głowami. Nad powierzchnią gładkiej wody przelewały się mleczne mgły.

— Co to tam świeci za drzewami?

— Peleryniarze obozują.

— Wiesz co, chodźmy tam. Może mokną bez tych śledzi. Można by ofermom poszukać jakichś kołków w lesie.

— Chodźmy. Okażemy im wielkoduszość.

— Brawo, moje małństwo.

Namiot Peleryniarzy, ustawiony za kępą niskich świerków, oświetlała kiwająca się na szczycie lampka.

— Nikogo nie ma — stwierdził Munio.

— Ty! — Tunio nagle zesztywniał. — Spójrz na odciaży!

— Co?

— Popatrz, flimonie. Śledzie!

— Co śledzie?

— Nie mieli ich, co? Powyrywało im?

— No!

— To dlaczego teraz są wszyscyutkie?

— O! — powiedział Munio. — A może już znaleźli te kołki zastępcze?

— A kuku. Przyjrzyj się. Wszystkie śledzie aluminowe. Fabryczne.

— Nic im nie powyrywało. Łgali.

— Z nas też naiwniaki. Przecież żeby powyrywało śledzie, trzeba by...

— Huraganu, huraganu by trzeba.

— A wiatr był, że tak powiem, umiarkowany.

— I co ty na to, mój Mundeczku?

— A ja na to, żebyś nie popadał znów w nastroje śledcze. Peleryniarze — po prostu — przyszli do nas w innym celu, niż mówili.

— Ale w jakim? Nocleg? Kolacyjka?

— Może jedno i drugie.

— Ktoś idzie.

Z tyłu namiotu zaszleściło, rozsunięły się gałęzie świerków i w krag światła weszły dwie zmoknięte postacie.

Munio i Tunio zaszyli się w paprocie.

Peleryniarz i Luteczek nurknęli pod wiatę namiotu, gdzie zasiedli przy składanym stoliku i napili się z płaskiego termosu.

— Ale zimno — rzekł Peleryniarz. — Jak to ładnie ze strony Alberta, że moje panie zaprosił do siebie. Misunia taka delikatna, jeszcze by mi się przeziębila w tym namiocie. Chyba powinienem im tam zostawić samochód.

— No, tak, to ładny kawałek drogi od miasteczka. Fajny pan ma ten wozik.

— Ford mustang.

— No. I ten kolor taki niebieski — listonosz westchnął, zadygotał i otulił się peleryną. — Wie pan co... — rzekł po chwili, niepewnie. — To jakos nieładnie wyszło. Starsza kobieta... rencistka...

— Głupiś! — zdenerwował się niespodziewanie Peleryniarz. — A co ja mogłem zrobić innego?

Tunio, przycupnięty w paprociach, ścisnął brata za ramię.

— Wie pan... ja niby rozumiem, ale jednak...

— Luteczek westchnął i wysmarkał nos.

— Pewnie, że sytuacja się skomplikowała — przyznał Peleryniarz. — Albert też nie był zadowolony. Ale to było jedyne wyjście, no! A teraz znów kłapa. Sam już nie wiem.

— Ja... ja bym chciał się wycofać ze wszystkiego — pokornie wyznał Luteczek. — Tak się jakoś zachynam bać, wie pan... Przeczucie mam złe.

— Bzdury — oświadczył Peleryniarz pewnym głosem. — Ale proszę, idź z tym do Alberta, pogadaj.

— Chyba się nie odważę — jęknął Luteczek.

Posiedzieli jeszcze chwilę, potem Luteczek pożegnał się i odszedł.

Munio i Tunio wycofali się na bezpieczną odległość i dopiero wtedy zdecydowali się na rozmowę.

— I co ty na to? — Tunio aż drżał z przejęcia.

— Chyba ślepy by zobaczył, że włamywaczem jest Peleryniarz!

— Ja nic na to — ziewnął Munio.

— Co prawda, nie powiedzieli niczego, co by nam dawało pewność — Tunio ostygł nieco i przebiegł myślą usłyszana przed chwilą rozmowę. — Fakt — powiedział po namyśle. — Mogli mówić o czymś całkiem innym. O jakiejś innej starszej pani... i tak dalej.

— No, właśnie — powiedział Munio obojętnie.

— Wyobraźnia płata ci figle. Wracajmy do domu.

Wspięli się po zboczu krętymi schodkami. Właśnie na ganek wyszły dwie postacie, oświetlone od tyłu snopem jaskrawego światła.

— Doktor wychodzi — stwierdził Munio.

— Aha. Świetny jest, nie?

— No. Udał nam się, zaiste, mój rekinku.

Podeszli bliżej przez mokry, ciemny ogród.

— ...dobrze i miło, jak w domu — usłyszeli ostatnie słowa doktora.

— To proszę wpadać częściej... — śmiała się Mama miło.

— Serio?

— O, tak — powiedziała Mama po chwili, poważnie.

— Dla mnie też ten wieczór był szczególnie miły. Po raz pierwszy od lat czułam się dziś... całkowicie bezpieczna. Śmieszne, co?

Doktor bez słowa ujął rękę Mamy i pocałował.

Potem, wciąż z jej ręką w swojej, nabrał tchu. Wydawało się, że coś chce powiedzieć, jakieś słowa zawisły w pachnącym jaśminem powietrzu. Mama spojrzała w oczy doktorowi i zatrzepotała rzęsami. On uśmiechnął się nieśmiało.

Był moment świetny na to, by ktoś kichnął.

Zrobił to Munio. Całkiem zresztą mimo woli.
Doktor i Mama drgnęli i rozłączyli ręce.

— O — powiedziała Mama. — Już jesteście. No, to pożegnajcie doktora i jazda do wanny.

Kiedy warkot motoru ucichł za drzewami, Mama westchnęła głęboko i spytała w zamyśleniu:

— Czy wy czujecie, jak mocno dziś pachnie ten jaśmin?

— Czujemy — rzekł Tunio z roztargnieniem.
— Mamo, czy ja bym mógł dziś wyjątkowo się nie wykapać?

— Och! — jęknęła Mama. — Co wieczór zadajesz mi to samo pytanie. I ja co wieczór odpowiadam cierpliwie, że człowiek kulturalny musi myć się codziennie. I niestety, już mi się znudziła ta zabawa. Róbcie sobie, co chcecie, razem ze swoimi czarnymi nogami. Ja zajmuję się dziś wachaniem jaśminu. Dobranoc.

— Hm — powiedział Tunio, całkowicie zaskoczony.
— Zbiłaś mnie z pantałyku. Wiesz, gdzie to jest?

— Co?

— Pantałyk.

— Nie wiem.

— Chyba jednak się wykapię.

Mama uśmiechnęła się w ciemności.

— Jak uważasz.

— To dobranoc, kochana.

— Dobranoc, kochany — powiedziała Mama i zasiadła na ławeczce pod jaśminem.